

Nina Andrycz

Ninę Andrycz, aktorkę Teatru Polskiego, cechuje w życiu prywatnym bezpośredniość i duże poczucie humoru.

— Jak się Pani czuje w roli królowej Elżbiety Valois? — zapytałam.

— Jak ów tygrys w państwowym cyrku, którego dyrekcja w zamieszaniu wzięła na etat małego zwierzątka i karmi orzeszkami. Elżbieta Valois to właśnie mój mały orzeszek, ale bynajmniej niełatwy do zgryzienia.

— Dlaczego?

— Choćby dlatego, że w całej roli nie ma ani jednej sceny, napisanej wyłącznie dla tej postaci. Nie mam tu na myśli tego, co w branży nazywa się „solówką”, ale po prostu większy stopień niezależności od otoczenia, większą swobodę poczynań, oczywiście zawsze w ramach inscenizacji.

— O jakiej roli marzyła Pani ostatnio?

— O „Kleopatrze” Szekspira.

— Wydaje mi się, że w każdej roli potrafi Pani znaleźć bliskie sobie fragmenty tekstu i podać je tak, aby zafrapowały widownię.

— Najusilniej do tego dążę. Do takich tekstów zaliczam w „Don Carlosie” Fryderyka Schillera dialog królowej z markizem Poza: „Świat się karli, olbrzymy jeszcze są, tylko rycerze wymarli”, i wszystko, co dotyczy konspiracji i finansowania przez nią buntu przeciw tyranii Filipa II.

— Czy to znaczy, że chciałaby Pani pomniejszyć swoją nieszczęśliwą miłość do Don Carlosa?

— O nie, miłość szczęśliwa czy nieszczęśliwa jest zawsze światłem i nie mogę z niej zrezygnować, zwłaszcza w dziejach tak romantycznych jak losy królowej i Don Carlosa.

— Co Pani robi, gdy zdarzy się wolny dzień?

— Lubię czytać i robić notatki z lektury (filozofia, psychologia), lubię spacerować, kawę w małym przyjacielskim gronie, czasem wybieram się do teatru jako widz.

— Czy stosuje Pani wówczas bardzo ostre kryteria?

— Ach skądże, jestem wdzięcznym i łatwo rozgrzewającym się widzem, poza tym nigdy nie szeleszczę papierkami od cukierków w czasie przedstawienia.

NINA ANDRYCZ

